

NARODZENIE (W) PEJZAŻU

Od kilkunastu lat śledzę drogę twórczą Jacka Świągulskiego, kiedyś – dobrze zapowiadającego się malarza, dziś – intrygującego, dojrzałego artysty. Niektóre z jego wystaw zachęcały do lektury ekspresyjnych, skrótowo ujętych kobiecych ciał z gazetowymi tatuażami, inne zapraszały do kontemplowania pejzażu. Dwa ulubione tematy artysty nigdy jednak nie pojawiały się razem – jakby było dwóch Jacków Świągulskich albo jakby w artystycznym show „Mam talent” próbował przekonać jurorów różnorodnością materiału. Ciekawe, co by się stało, gdyby oba cykle w końcu zawisły na ścianach galerii naprzeciw siebie – zastanawiałem się na którymś wernisażu. Mogłyby przegłądać się w sobie i odkrywać – za pośrednictwem publiczności – podobieństwa i różnice, powinowactwa z wyboru autora.

Wystawa *Narodzenie (w) pejzażu* jest próbą zrealizowania tego pomysłu. Zróżnicowana przestrzeń galerii w Stacji Nowa Gdynia zachęca do takich rozwiązań wystawienniczych. Monochromatyczne pejzaże (malarskie z ducha, łączące akryl z tuszami i ołówkiem) – na prawo, obrazy figuratywne – na lewo. A środkiem przechodzimy do sali, którą gdyby nie sportowo-gastronomiczne otoczenie, można by nazwać kaplicą – kaplicą pod wezwaniem rodziny. Świętej? Każda kochająca się rodzina jest w pewnym sensie święta, sama idea rodziny wyrasta ponad horyzont „codziennej lekkości bytu”. Zwróćmy uwagę, że na wystawie jedynie dwa obrazy o tytule *Epizod rodzinny* są zorientowane pionowo. A jeden z nich świetlistymi aureolami wprost sugeruje nawiązania do motywów sakralnych. Zróbmy zatem z niego centralny punkt tryptyku, a boczne skrzydła niech pokażą taniec na elipsie intymności, w którym partnerzy stwarzają się nawzajem. Idylla? Tylko momentami, w „złoty chwilkach”. Kiedy indziej ich gesty się mijają, aureole rozsypują się deszczem świetlnych kreseczek.

Od czasów słynnego filmu przymiotnik jurajski kojarzy się z dinozaurami. Całe bestiarium bujne jak przyroda sprzed milionów lat. Płytkie, ciepłe morza, na lądzie dżungla, olbrzymie drzewa iglaste, wielkie paprocie – to przeszłość. Dziś jurajski krajobraz to relikty i ostańce, wspomnienie odległych czasów. Pagórki pocięte pasami skoszonych bądź kwitnących łąk, wapienne skałki przyciągające początkujących wspinaczy, linie drzew zamykające horyzont, delikatne uskoki terenu, drogi i rzeczki przecinające pole widzenia. Zastygła w łagodny sen pierwotność, na obrazach podkreślona usunięciem z kadru człowieka i wszelkich jego wytworów. Świągulski pokazuje Jurę podobną do wydm – może gdzieś w podświadomości przechował obrazy płytkich, ciepłych mórz i rodzących się kontynentów. Mimo dynamiki diagonalnych linii te malarskie szkice uspokajają, zharmonizowane przemyślaną kompozycją. Właśnie ten okiełznany, podskórny ruch łączy je z obrazami z cyklu figuratywnego. Krajobraz odpoczywa po geologicznych burzach, tak jak kobieta i mężczyzna objęci w leniwe popołudnie.

A pies? Może jest tylko elementem kompozycji, koniecznym dla zrównoważenia którejś ze stron (obrazu)? A może (pełno)prawnym członkiem nowoczesnej rodziny? Albo motywem rozbijającym patos jej uwznioślenia. Na pewno rozciągnięty na dywanie u stóp swoich państwa świadczy o błogim nastroju, ale też czasami denerwuje, gdy wdziera się w przestrzeń intymności i trzeba go wywabiać smakołykami poza kadr obrazu.